

Europa Bałtycka

Kilka uwag o istocie pojęcia

Poza tym, że mieszkamy nad tym samym morzem, wszystko inne nas dzieli. To trzeba zmienić. Lecz tego nie da się osiągnąć bez wspólnej strategii. Nadszedł czas, aby dla jej urzeczywistnienia stworzyć śmiałą i dalekosiężną wizję celów.

Niech cytowana wyżej myśl - wyrażona w 1992 roku przez panią Gorel Thurdin, ministra planowania Królestwa Szwecji - przyjęta jako motto niniejszego szkicu, stanowi tym samym lapidarne jego streszczenie. Ilustruje jednocześnie przybierającą na znaczeniu potrzebę odpowiedzi na pytanie: jak tę wizję urealnić?

Jest region czy go nie ma?

Termin Europa Bałtycka pojawił się przed blisko ćwierćwieczem nie tylko jako nazwa określonego regionu; był wyrazem pewnej nieśmiałej idei. Wprowadzony zrazu do polskich opracowań naukowych, a następnie do coraz liczniejszych esejów publicystycznych, został przyjęty zarówno w rodzimym, jak i obcojęzycznym piśmiennictwie geograficznym i politycznym, dość szybko i bez widocznych oporów. Można było odnieść

Jerzy Zaleski

*prof, dr hab.
długoletni kierownik
Zakładu Geografii
Gospodarki Morskiej UG*

wrażenie, jakby go oczekiwano, aby najczęściej dotąd używane określenie „region bałtycki” móc zastąpić wreszcie czymś bardziej wyrazistym. Jest to znamienne, bowiem w trwającej od dziesięcioleci gmatwaniu krzyżujących się argumentów w polemikach uczonych regionalistów żadna z wielu ukutych teorii nie była w stanie uzasadnić swej racji. Znane są setki definicji regionu uznanego za ważną kategorię przestrzenną - z tym zgadzają się wszyscy - ale ani jedna nie została bez zastrzeżeń zaakceptowana.

W opinii części krytyków region to subiektywny pomysł zrodzony w gabinetach niektórych geografów potrzebny im jako narzędzie badawcze, gdyż geografia utraciłszy status jednej, całościowej nauki „musi, do licha, czymś się zająć”. Inni natomiast uważają, że region to obiektywnie istniejący obszar o wykształconych cechach fizycznych lub społeczno-gospodarczych, które go wyodrębnia od otoczenia; jest zatem zjawiskiem rzeczywistym, czy to się komuś podoba, czy nie. W efekcie to nieopisane zamieszanie doprowadziło do tego, że przechodzimy bez zzymania się do porządku dziennego nawet wobec np. takich nagminnych określeń jak „region Pacyfiku”, ale też „region kaszubski”, mimo drastycznej asymetrii ich obu pod każdym względem. Przykłady takich, i pokrewnych im nonsensów, można mnożyć.

Przez wprowadzenie klasyfikacji i podziału - przynajmniej według kryterium wielkości obszaru na - mikro-, mezo- i makroregiony usiłowano zapanować nad chaosem, ale te starania okazały się niezbyt satysfakcjonujące. Ostatecznie również, a może przede wszystkim z uwagi na dostępność do urzędowych danych statystycznych, regionalizację poczęto opierać najchętniej na aktualnym podziale administracyjnym. Stąd mówiąc o „regionie pomorskim”, mamy przeważnie na myśli województwo pomorskie.

Na jakikolwiek obszar nazywany regionem można jednak spojrzeć też pod innym kątem widzenia, w którym spójnia fizyczna (np. sieć hydrograficzna, morfologia terenu) lub dominanty gospodarcze czy osadnicze (koncentracja środków produkcji, stopień urbanizacji) stanowią składnik przestrzennej struktury obrazującej szczególne relacje i sprzężenia. Dostrzegł to i udowodnił w latach 60. W. Isard, wprowadzając instrumenty dociekań umożliwiające nie tylko teoretyczne, lecz i praktyczne zastosowanie analizy regionalnej. Można to też - *mutatis mutandis* - odnieść do podmiotów stanowiących temat badań układów politycznych, zwłaszcza w kontekście tendencji do konsolidacji poczynań, których metą jest wspólnota celów.

Związki pomiędzy państwami mogą przybierać rozmaite formy i obejmować różnorodny zakres

współpracy. Pojęcie integracji, tak obecnie na czasie, jest trudno definiowalne. Dziś słowo „integracja” kojarzy się z zespoleniem wysiłków nad daleko zaawansowaną współpracą i ze wspólną strategią rozwoju odrębnych organizmów państwowych dla osiągnięcia uzgodnionych założeń. W niniejszym tekście używa się zamiennie terminów „integracja” i „wspólnota”, gdyż trudno przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie formalny wizerunek postulowanej więzi bałtyckiej (jeśli w ogóle kiedyś do niej dojdzie) lub jaki przybierze konkretny kształt. Innymi słowy, pojęciem tym określamy tworzenie takiej organizacji, która ze względu na wysoki stopień wzajemnych powiązań oraz osiągniętą dzięki temu wewnętrzną zwartość wyodrębnia się i wyróżnia własną strategią działania bez utraty suwerenności tworzących ją partnerów. Taka próba definicji ma oczywiście ułomności,

jednakże dla zobrażenia współczesnych tendencji wydaje się wystarczająca. Nie od rzeczy będzie zarazem dodać, że tak rozmiary terytorialne, jak i formy wewnętrznego ładu po-

dejmowanych na całym świecie starań zrealizowania bliskiej kooperacji różnych państw, mogą się od siebie dość istotnie różnić; zbyt skomplikowana to materia. Jednego wzorca nie ma i zapewne nigdy się go nie doczekamy.

Za i przeciw

Nie może budzić zdziwienia, że zarówno z wymienionych, jak i innych względów (o czym niżej) koncepcja Europy Bałtyckiej uruchomiła spore emocje i wywołała ożywioną dyskusję. Obok dającego się zauważyć grono entuzjastów większość stanowisk świadczy o umiarkowaniu pozytywnym i rzeczowym odbiorze sygnalizowanej przed laty idei bałtyckiej spójni regionalnej, rozsądnie komentując jej przestanki i motywy, co nie znaczy, że nie zgłasza wątpliwości dotyczących szczegółów i nie domaga się dodatkowych wyjaśnień. Ze zrozumiałych powodów najbardziej dobitny oddźwięk znalazł postulat zwarć szeregów na niwie współpracy bałtyckiej u ekologów, przerażonych groźbą zatrucia Bałtyku i unicestwienia w jego wodach wszelkiego życia. Wobec uspokojenia się nastrojów katastroficznych w ostatnim czasie, wyłączność takiego stanowiska została przezwyjęta, chociaż - wbrew bardziej optymistycznym raportom - nie ma powodu do pomijania tego problemu, tym bardziej że może on powrócić. Oby tak się nie stało. Część fizjografów - popierana przez poprzednich - zawężyła omawiane pojęcie do roli teoretycznego i „uzupełniającego mapy” przyczynka dyskusji o fizyczno-geograficznej regionalizacji Europy, wychodząc z założenia, że decyduje typ zlewiska.

W pojęciu Europy Bałtyckiej nie mieści się żadna koncepcja sojuszu „anty-komuś”, również wobec tych, którzy kiedyś byli naszymi wrogami.

Niektórzy kategorię określającą dążenie do ściślejszych związków gospodarczych, społecznych, kulturowych etc. Polski z państwami i społeczeństwami nadbałtyckimi - mimo życzliwego odniesienia - postrzegają w sferze abstrakcji, co wynika nie tylko z zakorzenionych stereotypów, lecz i obecnej polityki Warszawy. W polskiej doktrynie państwowej opcja bałtycka znajdowała się zawsze na dalekim planie. I dziś, mimo posiadania ponad 500-kilometrowego wybrzeża, co od wieków było niedościgłym marzeniem, Polska nie ma żadnej własnej polityki bałtyckiej. Kompleksowi „uprawy morza”⁷ przeznaczają się rolę mniej niż uboczną, co m.in. znajduje wyraz w izolacji sfery gospodarki morskiej, doczepianej jako kłopotliwy margines do różnych resortów. Wadliwa treść polityki regionalnej państwa pozostawia województwa nadmorskie na skraju głównych powiązań transportowych, co grozi postępującym procesem spadku tych obszarów do poziomu ubogiej prowincji. Dodatkowym aktem arogancji i bezmyślności było wykluczenie Elbląga w nowym podziale administracyjnym kraju poza obręb województwa pomorskiego.

Najbardziej wreszcie widowym objawem odsuwania się Polski od rubieży morskiej jest traktowanie sąsiadów zza bałtyckiej wody w naszej polityce zagranicznej jako partnerów drugorzędnych, z którymi nie wiąże się żadnych koncepcji, wynikających z odpowiadającego realiom uznania geopolitycznych układów międzynarodowych; jawnym tego skutkiem jest marazm we wzajemnych obrotach handlowych i skromny zakres współpracy w innych dziedzinach (nauce, sporcie itp.).

Nie brak namiętnych głosów opozycji. Oto pojawia się, drogą dość karkołomnych spekulacji politycznych, sugestia, że subintegracja wokółbałtycka może przyczynić się do osłabienia naszej pozycji wobec potężnych wschodnich i zachodnich sąsiadów. Tym, a zwłaszcza Moskwie, takie rozwiązanie mogłoby być na rękę, gdyż umożliwiłoby rzekomo sprowadzenie jedności bałtyckiej do roli „konia trojańskiego” zjednoczonej Europy, a Berlinowi trzymanie Polski na bezpieczną odległość od - będącej pod jego kontrolą - Unii. Przesłanki leżące u podstaw prognozowania kierunków strategicznych zamiarów któregośkolwiek z państw mogą mieć wprawdzie charakter wielowariantowy, ale wnioski muszą się liczyć z istniejącym stanem rzeczy. Zaprezentowana

wyjątkowo misterna kalkulacja odpowiadałaby może konstruktorom diabolicznych intryg za czasów Bismarcka, ale dzisiaj? Polska do końca przewidywalnej przyszłości będzie leżeć między Niemcami a Rosją, lecz obecnie sprawy mają się zgoła inaczej niż dawniej. Bałtyk pozostawał przez wieki celem dążeń imperialnych. Kiedyś obcęg pruskie i rosyjskie miażdżyły pozostawionych samym sobie, a często sklóconych z najbliższymi sąsiadami Duńczyków, Szwedów, Finów, Estończyków, Łotyszów, Litwinów i Polaków. Wyrazem zgubnego osamotnienia był tragizm ich losów. Można mieć nadzieję, że powrót dramatycznych scenariuszy z minionych stuleci dziś nam już nie zagraża. A jeśli ktoś miecz chciałby zastąpić innym orężem, to wspólnota skuteczniej się obroni. W pojęciu Europy Bałtyckiej nie mieści się żadna koncepcja sojuszu „anty-komuś”, również wobec tych, którzy kiedyś byli naszymi wrogami.

Razem czy osobno?

Nowoczesne procesy integracyjne w Europie mają blisko 80-letnią tradycję. Idea Paneuropy została ogłoszona przez R. Coudenhove-Kalergi'ego w 1922 roku, ale dopiero ostatnie półwiecze przyniosło konkretne działania dla nakreślenia uprzednio mgliście zarysowanych konturów. Dziesięć lat trwały żmudne zabiegi i starania, głównie w Paryżu i w Bonn, zanim - poprzedzone mnogością napięć, impasów i... kłótni - podpisano w marcu 1957 r. traktaty rzymskie. Ich najważniejszym - jak się okazało - protokołem było ustanowienie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, której etapem pośrednim była

Europejska Wspólnota Węgla i Stali, inicjująca etap odejścia od historycznych antagonizmów i kładąca fundament pod przyjaźń Francji z Niemcami. Był to więc dziejowy zwrot na miarę nowej epoki, który dowiódł, że symbioza jest możliwa nawet między tymi narodami, które tak niedawno skakały sobie do gardeł.

Podpisane w Rzymie uzgodnienia zakrojono na ambitną skalę programami międzynarodowej współpracy, przede wszystkim na polu ekonomicznym. Był to pierwszy realny krok ku jednoczeniu Europy. Według J. Tinbergena „...pożądaną dla członków-założycieli wspólnotą można nazwać tylko takie stworzenie korzystnej strategii, która usuwa sztuczne przeszkody w optymalnym działaniu i wprowadza

W polskiej doktrynie państwowej opcja bałtycka znajdowała się zawsze na dalekim planie. I dziś, mimo posiadania ponad 500-kilometrowego wybrzeża, co od wieków było niedościgłym marzeniem, Polska nie ma żadnej własnej polityki bałtyckiej. Kompleksowi "uprawy morza" przeznaczają się rolę mniej niż uboczną, co znajduje wyraz w izolacji sfery gospodarki morskiej, doczepianej jako kłopotliwy margines do różnych resortów.

świadomie wszystkie niezbędne elementy koordynacji i konsolidacji". Wydawało się wówczas nad Tybrem, że warunki te mają wszelkie szanse spełnienia.

Jednakże już w trakcie montowania Wspólnego Rynku okazało się, że nie dało się ukryć nie tylko prób znalezienia impulsu do rozwoju gospodarek narodowych, ale także wyraźnych apetytów ekspansji i protekcjonizmu. Nie zanikało współzawodnictwo i przybierający na sile wyścig do zajęcia na starcie najdogodniejszej pozycji. Nie ustały ciche, podjazdowe zabiegi wokół wpływów na dystrybucję surowców, trwała zacięta, choć maskowana walka na kontrakty, licencje, patenty i dokumentację know-how, giełdy nadal usiłowały dyrygować rynkiem pieniężnym pod własną batutą, dwie wielkie i ważne dziedziny życia gospodarczego - transport i rolnictwo - nie dały się uformować na modłę rzymską.

Jaki to miało wpływ na państwa bałtyckie? W przewidywaniu ewentualności niefortunnego dla niektórych rozwoju wydarzeń przeforsowano jesienią 1959 r. powstanie Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (EFTA), w którego skład obok Wielkiej Brytanii weszły też: Dania, Norwegia, Szwecja i później - Finlandia. Dla innych było również nie do przyjęcia, aby ktoś miał uzurpować sobie prawo do kierownictwa w procesach integracyjnych i preferować się wzajemnie w obrębie ówczesnej „szóstki”. Stąd też wyłoniła się potrzeba znowelizowania w 1962 r. układu o współpracy w ramach tzw. Rady Nordyckiej (Nordiska Radet - powstałej w 1952), w którym Dania, Szwecja, Norwegia, Islandia i Finlandia zobowiązywały się do ściślejszej współpracy w sferze gospodarczej, społecznej, prawnej i kulturalnej. Byłą NRD i Polskę (nie wspominając o zagarniętych wcześniej republikach - Litwie, Łotwie i Estonii) zniewolono do podporządkowania się dyktatowi pod postacią tzw. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (COMECON).

W parze z boomem ekonomicznym trwała ofensywa zwolenników wspólnoty zachodniej, przekształconej po dziesięcioleciach w Unię Europejską. Dziś z państw nadbałtyckich jej członkami rzeczywistymi są obok Niemiec (RFN od 1957 r.) i - po ostrych targach - Danii (od 1973 r.), również Szwecja i Finlandia (od 1995 r.). Jak widać, przynależności do różnych układów nakładają się. Czy państwa będąc członkami jednej grupy integracyjnej, mają prawo lub możliwość zadeklarowania swego udziału w innej, działającej wewnątrz macierzystej organizacji lub poza nią? To zależy, w teorii, od klauzul w aktach konstytucyjnych, a więc od stopnia rozluźnienia

rygorów i obowiązującej dyscypliny członkowskiej. W praktyce możliwość taka jest nieograniczona, tym bardziej gdy dotyczy powiązań regionalnych (sub-integracji). Po powstaniu Unii nie rozwiązano Beneluxu, EFTA formalnie istnieje nadal, kwitnie współpraca w ramach Rady Nordyckiej, funkcjonuje - choć z trudnością - tzw. Inicjatywa Środkowoeuropejska z udziałem m.in. Włoch i Polski itp. Rozpatrując szachownicę powiązań, można przytoczyć głośny komentarz Winstona Churchilla do traktatów otwierających drzwi do salonów Wspólnego Rynku: „Nie musimy być »w«, i choć chcemy być »z«, nie zginie my będąc »poza«. Proroctwo wskazujące drogę do Europy regionów?

Perspektywa pełnego - nie tylko stowarzyszonego - członkostwa w Unii i kusi - z jednej, i rodzi obawy - z drugiej strony. Coraz częściej słychać uwagi, że skłonność do transkontynentalnego zjednoczenia nie jest w stanie zastąpić korzyści płynących z naturalnych więzi sąsiedztwa, tym bardziej że

Coraz częściej słychać uwagi, że skłonność do transkontynentalnego zjednoczenia nie jest w stanie zastąpić korzyści płynących z naturalnych więzi sąsiedztwa, tym bardziej że jedno drugiemu nie stoi na przeszkodzie.

jedno drugiemu nie stoi na przeszkodzie. Ludzie chcą zachować swą podmiotowość, więc wracają do tradycji. Umacnianie samoświadomości jest odruchem samoobrony przed rozwodnieniem w kosmopolitycznej zbiorowości odpersonifikowanej w ma-

sie goniącej za pieniądzem. Nie wszyscy zamierzają poddać się narkozie tego paradygmatu. Podnoszą się głosy apelujące o większe zrozumienie wagi i roli odrębności regionalnych. Stąd m.in. wezwania o utrwalenie „tożsamości bałtyckiej”. Co bardziej przenikliwi politycy z krajów pretendujących do Unii przeczuwają, że jest to przestrzeń pełna pułapek, niezależnie od tego, iż aspiracja do spodziewanego partnerstwa wiedzie ciernistą drogą. Premier Republiki Węgier Gyula Horn (w maju 2000 r.) dał expressis verbis wyraz możliwości poszukiwania przez jego kraj prób alternatywnych rozwiązań w przypadku, gdyby z różnych przyczyn „ścieżka brukselska” okazała się nieprzejezdna.

Symptomatyczne są doniesienia z Paryża i Berlina o potrzebie utworzenia w strukturze unijnej silnego, aktywnego kręgu centralnego jako dodatkowego „pedału gazu” na szlaku wiodącym do zjednoczonej Europy, a więc czegoś na kształt klubu „równiejszych” wśród, hm, równych. Wówczas na obrzeżeniu takiego stołu prezydialnego znalazłyby się, w praktyce o stopień niżej, państwa położone na kresach, a więc grupa nordycka oraz biedniejsi przedstawiciele Europy Śródziemnomorskiej. Kolejny szczebel to stojący dziś w przedpokoju, mający stanowić rezerwuuar uzupełnień, którzy być może zostaną w bliżej nieokreślonym czasie dopuszczeni do szerokiego zaplecza

pierwszej drużyny. Nie wiadomo tylko kiedy i na jakich warunkach.

Mnożą się takie określenia jak: „euroceptycyzm”, „euoskleroza”, „europatia”. W przypadku wahnięcia sinusoidy koniunkturalnej (oznaki już się dają odczuć), pogorszenia się sytuacji ekonomicznej i społecznej oraz idącego z tym w parze zachwiania ufności we wzorzec ultraliberalnego rynku (jego wstydliwą wizytówką są dziesiątki milionów bezrobotnych) kondycja Unii może stanąć wobec bardzo złożonych powikłań. Szczególny krytycyzm szerzy się wśród Skandynawów, co Duńczycy bez ogródek wyrazili w powszechnym plebiscycie. Według ostatnich sondaży aż 60 proc. obywateli „piętnastki” (w tym 70 proc. Niemców) protestuje przeciwko zbyt pospiesznemu pogłębianiu procesu integracji. Co do jej poszerzenia zdania są również podzielone.

Natomiast idee związków regionalnych, przy wyrażeniu ożywiających się patriotyzmach lokalnych, darzy się rosnącą sympatią i zainteresowaniem. Nie zagrażają one jedności państw narodowych, akceptują koegzystencję etniczną, a nieskrępowanej eksploatacji ekonomicznej nie zamierzają się poddawać. Dążenie do subintegracji ugrupowań mających indywidualność regionalną nie oznacza również w przypadku Europy Bałtyckiej - wezwania do współzawodnictwa, a tym bardziej do jakiegokolwiek formy konfrontacji lub dywersji wobec zamierzeń unijnych; jest alternatywną formułą wyboru

drogi do zjednoczenia i inspiracją, poprzez sąsiedzkie łączenie sił, do skutecznego reprezentowania swoich spraw. Polska powinna się do tego procesu przyłączyć, aby w czasie wielkich rozstrzygnięć decyzje nie zapadały ponad naszymi głowami. Jako liczący się członek silnego, skonsolidowanego ugrupowania bałtyckiego będziemy w grze figurą, a nie blotką.

Nie zaprzepaścić tego, co już zrobiono

Korzyści płynące z wypracowania własnych reguł, choć w ograniczonej mierze, państwa bałtyckie uświadomiły sobie już trzydzieści lat temu. Wynikiem tego było przyjęcie konwencji gdańskiej (1973 r.) i konwencji helsińskiej (1974 r.). Nie spełniają one wszystkich oczekiwań ale - po uzupełnieniu w latach 80. - wprowadzają zalecenia, które tworzą trwale

podstawy i możliwości wypracowania całościowego kodeksu Morza Bałtyckiego. Winien on ostatecznie porządkować w sposób kompleksowy kwestie związane z prawidłowym i bezpiecznym wykorzystaniem morza, w tym zwłaszcza uzgodnienie kroków podejmowanych dla właściwej organizacji przestrzeni i ochrony ekosystemów bałtyckich przed postępującą degradacją. Jest to punkt wyjścia do realizacji zasad zrównoważonego rozwoju. Niemało już w tym kierunku zrobiono.

Wzajemnie skoordynowana eksploatacja zasobów morza, jego przestrzeni i zagospodarowanie wybrzeży to wstępny, ale bardzo ważny krok do budowy autentycznej solidarności wokółbałtyckiej. Po pierwsze dlatego, że niemal wszystkie ujemne zjawiska mają swą genezę na lądzie, a większość procesów zakłócających harmonię środowiska nie respektuje granic, po wtóre - wspólne cele wymagają współdziałania i koordynacji poczynają również w sprawach polityki wewnętrznej, regulacji prawnych, współpracy

ekonomicznej, a także społecznej. Nie są objętne nawet decyzje administracyjne. Wiele jest dziedzin, w których posunięcia dogodne dla interesów wszystkich partnerów można zsynchronizować w drodze zawarcia odpowiednich umów wielostronnych.

Należą do nich przede wszystkim uzgodnienia - poza ustawodawstwem - w zakresie długofalowych planów inwestycyjnych, planowania przestrzennego (zwłaszcza w regionach nadmorskich), połączeń

transportowych oraz - co dotyczy polityki w skali makroekonomicznej - wzrostu powiązań kooperacyjnych i handlowych. Jak daleko można się posunąć na polu wzajemnych preferencji? Nikt niczego nie da za darmo, trzeba umieć go przekonać, że podejmowane wspólne kroki leżą również w jego interesie. Dla zamożnych państw skandynawskich, mających jednak trudności z przebicciem się swoimi wyrobami na nasycone rynki unijnych kontrahentów i w obliczu konkurencji Stanów Zjednoczonych, Japonii i innych „tygrysów” azjatyckich, nie jest zjawiskiem korzystnym posiadanie za miedzą bałtycką państw ubogich, zadłużonych, chroniących desperacko swój bilans handlowy, a więc z konieczności ograniczających import i forsujących merkantylną formułę w swej wymianie towarowej. „Jeśli od biedaka niewiele można kupić, to już na pewno niczego nie można mu sprzedać” - ta dewiza leżała u podstaw

Dążenie do subintegracji ugrupowań mających indywidualność regionalną nie oznacza - również w przypadku Europy Bałtyckiej - wezwania do współzawodnictwa, a tym bardziej do jakiegokolwiek formy konfrontacji lub dywersji wobec zamierzeń unijnych. Polska powinna się do tego procesu przyłączyć, aby w czasie wielkich rozstrzygnięć decyzje nie zapadały ponad naszymi głowami. Jako liczący się członek silnego, skonsolidowanego ugrupowania bałtyckiego będziemy w grze figurą, a nie blotką.

planu Marshalla i dowiodła swej słuszności. Skandynawowie zdają sobie z tego sprawę, i - jak można sądzić z ich doświadczeń - skłonni są rozważyć każdą rozsądną propozycję uruchomienia swych zasobów kapitałowych. A na tej płaszczyźnie nieodzowna jest obecność państwa jako gwaranta.

Szwedzi wzięli pod uwagę ten element rachunku i doprowadzili do powołania w 1992 roku Rady Państw Morza Bałtyckiego. Uwzględnienie czynnika rządowego oznaczało nadzieję na to, że za hasłem „Bałtyk ma łączyć a nie dzielić” - pojawią się wiarygodne działania dla wypełnienia ram tego wezwania treścią. Ogłoszono Deklarację Morza Bałtyckiego przyjętą przez szefów rządów państw, sygnatariuszy Rady. Figuruje w niej ważny zapis: „...aby podejmować wysiłki na rzecz włączenia rozważań dot. środowiska w celu postępowania związanego z planowaniem przyszłego rozwoju w zakresie wszystkich procesów społecznych i ekonomicznych”. Szkoda, niestety, że nie dla wszystkich to zobowiązanie stanowiło bodziec do podjęcia takich wysiłków. Można szczerze żałować, że m.in. Polska podczas swych regulaminowych prezydencji w Radzie, nie poczyniła żadnych zauważalnych kroków, aby tę gotowość wprowadzić w czyn.

Podczas spotkania w tym samym roku w Karlskronie przedstawiciele Szwecji (inicjator i gospodarz), Finlandii, Danii i Polski, przy aktywnym udziale Estonii i Łotwy doprowadzili do utworzenia ciała wykonawczego VASAB (Vision and Strategy Around the Baltic 2010), którego rola miała polegać na wypracowaniu metod przybliżeń społeczno-gospodarczej współpracy regionalnej w aspekcie praktycznym. Pozbawiona, jak większość rodzących się synchronicznie usiłowań, instytucjonalnego wsparcia agend państwowych, nie wyszła - jak dotychczas - poza studium zabiegów organizacyjnych. Wiele dobrej woli i znaczny wkład pracy zdolnej kadry działaczy (w tym również Polaków) nie przyniósł spodziewanych owoców. Nie ustrzeżono się też przed dopuszczeniem do głosu wirusa, który zakłóci rytm pracy każdego mechanizmu: biurokracji, w rezultacie - program znacznie się przewleka.

Byłoby malum pessimum poddać się zniechęceniu, wynikającemu z faktu, że nie wszystkie zamiary zostały uwieńczone sukcesem. Jest to tym bardziej uzasadnione, że w ostatnich latach ruszyły z martwego punktu liczne inicjatywy ogólnobałtyckich instytucji i ciał pozarządowych, komunalnych,

regionalnych, lokalnych, publicznych i prywatnych. Nie miejsce, aby je tu wszystkie wymieniać, lecz ich liczba i przejawiana energia wskazuje na prężność jednostek i grup przełamujących bariery, które nieobce są nikomu, kto chce coś zrobić. Że każdy naraża się przy tym na wiele potknięć i podejmuje niekiedy nietrafione decyzje, to nieuniknione.

Krzepiące jest akcentowanie obecności coraz liczniejszych związków między ciałami samorządowymi w sektorach przygranicznych, podpisywane są umowy o współpracy miast siostrzanych, rośnie liczba lokalnych akcji kulturalnych, powstają spółki joint venture, daje się zauważyć ruchliwość inwestycyjna o kapitale mieszanym, pojawia się zainteresowanie korporacji międzynarodowych. Wszystko to tworzy dobrą atmosferę. O regionie bałtyckim mówi się w świecie coraz głośniejsze i z szacunkiem jako o obszarze rosnących i godnych uwagi szans.

W Polsce naszkicowany proces przebiega mniej dynamicznie, ale najważniejsze, że się rozpoczął. Nie-

które ścieżki są już przecierane; rzecz w tym, aby je konsekwentnie pielęgnować i uchronić przed zarośnięciem chwastami. Jeśli wymieniona zjawiska będą przybierać na sile i znaczeniu, można z ufnością patrzeć, jak powstają zręby „małej wspólnoty”, zanim ta „wielka” rozpocznie swój żywot. Warto również zwrócić uwagę na aspekt psychologiczny,

ważną rolę odegra bowiem działalność pasjonatów wprowadzających w życie hasło: „think regional, act local”. Każde, nawet najdrobniejsze konkretne działanie jest cenne; ich łączna wartość jest nie tylko prostym iloczynem liczby podjętych przedsięwzięć mnożonych przez energię w nie włożoną. Ma jeszcze walor szczególnie: siłę przykładu i kapitał doświadczeń.

Kontynuując taktykę drobnych kroków, nieodzowne jest rozpoczęcie przynajmniej wstępnych prac nad fundamentem koncepcji jako całości. Trzeba patrzeć szerzej i dalej. Rozwiązania w skali przestrzeni i funkcji są ze sobą sprzężone i muszą znaleźć swój instytucjonalny wyraz. Będzie to stanowić o łatwiejszym trybie usuwania przeszkód, których pojawienie się sprzyja postawie zwątpienia i inercji. Najogólniej można mówić o potrzebie wydobycia przed nawias czynnika koordynacji, który jest nieodzownym atrybutem sprawnego zbiorowego działania. Niby najważniejsi są aktorzy, a przecież bez reżysera obejść się nie sposób.

*No cóż, Polska obecnie odgrywa
nad Morzem Bałtyckim rolę statysty; tego
smutnego faktu nie da się zakwestionować.
Pozbawieni własnej przemyślanej doktryny
w polityce bałtyckiej będziemy - jak
nieraz w przeszłości - nie podmiotem,
ale przedmiotem przetargów.
Historia jest dobrą nauczycielką,
lecz nad Wisłą nigdy nie miała zbyt
pojętych uczniów.*

Podjęmowane na obszarze Europy Bałtyckiej działania mające na celu stworzenie warunków do uformowania subintegracji regionalnej, mimo że jest ich niemało, są w większości rozproszone, dotyczą problemów cząstkowych, nie są w szerszej skali koordynowane, nie obejmują panoramy całokształtu współpracy i nie funkcjonują w ramach uzgodnionej strategii. To sprawia, że rezultaty tych inicjatyw nie są w pełni zadowalające, choć roli ich funkcji - jako tkanki łącznej - nie należy umniejszać.

Drogi przybliżające do celu

Starorzyskie przysłowie mówi, że jeśli zacząłeś, połowę pracy masz za sobą. To dobrze, że zaczyna się od rzeczy małych. Doświadczenie uczy, że wielkie zamierzenia należy realizować stopniowo. Warto skorzystać ze wskazówek twórcy EWWS, Roberta Schumana, który w 1950 roku w Paryżu powiedział: „Najlepszym sposobem osiągnięcia celu jest zacząć od małych spraw i w ograniczonym zakresie... Nadmiar zapału lub zbyt ortodoksyjna postawa może prowadzić do niepowodzenia. Należy działać etapami.” Wytrawny francuski mąż stanu wiedział, co mówi, gdy przestrzegał przed szarżowaniem. Jednakże, co też jest prawdą, wielki cel trzeba przybliżać. Z biegiem lat wszelka euforia wygasa, gdy nie wzmacnia jej śmiała determinacja i nie ożywia ambicja ukoronowania codziennego trudu. Urzeczywistnienie odważnej wizji żąda nieustępliwości i świadomości, że jest to proces trudny i długotrwały. W omawianym przypadku - po pierwsze - nie wiadomo, czy się uda. Po drugie - niesie potrzebę wszechstronnych badań i przygotowań, wyczerpujących dyskusji, nieustannych konsultacji i uzgadniania często sprzecznych stanowisk, dotyczących samej zasady koncepcji. Imperatywem wreszcie oczekującym u kresu tej drogi jest potrzeba wyartykułowania wiążących i odpowiedzialnych decyzji. A rzeczywistość zweryfikuje je bezlitośnie.

Aby mogły one zostać w przyszłości podjęte w przekonaniu, że są słuszne, jest niezbędne:

- wytworzenie i ugruntowanie „załączków wiary” w mentalności wpływowych elit politycznych i intelektualnych w sens i skuteczność myślenia regionalnego i możliwość perspektywicznego widzenia celu wraz z konsekwentnym promowaniem takiej postawy

- stopniowe rozszerzanie prac nad metodyką całościowego działania, aby od zadań odcinkowych przejść do aproksymacji rozwiązań problemów strategicznych. Taki etap powinien już nastąpić.

Chciałoby się wierzyć, że proces pełnego zaangażowania w formowanie narodzin wspólnoty regionalnej przebiegnie pomyślnie przy poszerzaniu już uchwyconych przyczółków. Jak w każdym strategicznym natarciu ważny jest wybór kierunków dla koncentracji sił, aby znaleźć najdogodniejsze wyjście

w przestrzeń operacyjną. Dziś nikt nie jest w stanie powiedzieć, który dostępny wariant będzie najlepszy; być może wyłoni się on sam podczas rozwiązywania pojawiających się dylematów. Wydaje się, że celowe byłoby rozesłanie ankiety do miarodajnych i autorytatywnych ośrodków opiniotwórczych z pytaniem: „czy” i „jak”? - otrzymany materiał opublikować i uwzględnić rezonans opinii publicznej. Mogą się narodzić nowe, ciekawe pomysły.

Kto takie działania powinien prowadzić? Już dorywczo padła propozycja, aby rządy państw bałtyckiej „dziewiątki” wyłoniły „sztabową” grupę studyjną (może wyposażoną w rozszerzone prerogatywy istniejącą Focal Points' Group?), aby niezależnie od zespołów prowadzących prace nad zadaniami cząstkowymi i do nich tylko powołanych przedstawiła wnioski dotyczące pragmatyki dalszego postępowania instytucjonalnego w zakresie całokształtu koncepcji integracyjnej. Nie podlegając ingerencji z żadnej strony co do sposobów działania, taka grupa robocza powinna rozpatrzyć warianty dążeń do wzmożenia aktywności i ocenę skuteczności przedsięwzięć mogących być lokomotywą subintegracji w dwóch płaszczyznach: działalności rządowej i pozarządowej. Według przyjętej procedury należałoby wypracować propozycje skoordynowanych posunięć dla ciał powołanych do zdefiniowania kluczowych problemów prawnych, ekonomicznych, przestrzennych i społecznych.

Byłoby ze wszech miar wskazane przyspieszenie i rozszerzenie działalności już powołanych grup zadaniowych (mobilność przestrzenna, urbanizacja, obszary przygraniczne, strefy konfliktowe, monitoring obszarów zagrożenia itp.) dla opracowania wspólnie węzłowych programów koordynacji prac nad przygotowaniem planu współdziałania dla osiągnięcia konsensusu tam, gdzie jest on niezbędny. Pomocne byłoby zlecenie wybranym, dającym rękojmię gruntownego przygotowania naukowego ośrodkom badawczym przeprowadzenia studiów prognostycznych z symulacją scenariuszy na bliską i dalszą przyszłość.

Skąd na to wszystko wziąć środki? Na to będzie można odpowiedzieć dopiero po konsultacjach ministrów finansów w celu zorientowania się w możliwościach zapewnienia pokrycia z budżetów poszczególnych państw. Ich uruchomienie następowałoby sukcesywnie w miarę postępu prac.

Wyjść z cienia

Polska dyplomacja całą swoją energię ogniskuje obecnie tylko wokół jednego problemu. Jest nim jak najszybsze wejście (przyjęcie nas?) do Unii Europejskiej. Podczas spotkań z tymi tam na górze, którzy ostatecznie o tym zechcą zdecydować, nasi statyści mają od dawna tylko jedno, jakby nagrane na taśmie, pytanie: kiedy? Nie wiadomo, w jakim horyzoncie można tego oczekiwać, choć wydaje się, że ostrożni

realiści (by nie nazwać ich inaczej) dalecy są od krzątania wokół fety z okazji tego dnia. Petent musi czekać. Tymczasem każde państwo, leżące - jak Polska - w sercu Europy, jest uważnie obserwowane, nade wszystko przez swoich sąsiadów. My stawiamy, jak wspomniano, z uporem tylko jedno pytanie, bagatelizując obowiązek odpowiedzi na indagacje kierowane przez innych pod naszym adresem. Nadchodzą informacje różnymi kanałami, że z azymutu północnego wysłano w ostatnich latach do Warszawy, w bardziej lub mniej otwartej formie, bardzo wiele zapytań. Są wśród nich m.in. następujące:

- Jak widzicie swoją rolę nad Bałtykiem i jaki jest wasz stosunek do nowego układu sił po roku 1990?
- Czy wobec dążeń Skandynawów i Bałtów do intensyfikacji wzajemnych powiązań w każdej dziedzinie zamierzacie pozostać na uboczu?
- Czy uważacie swoje związki z Bałtykiem za drugorzędne i rezygnujecie z aktywnej roli na tym obszarze?

No cóż, Polska obecnie odgrywa nad Morzem Bałtyckim rolę statysty; tego smutnego faktu nie da się zakwestionować. Pozbawieni własnej przemyślanej doktryny w polityce bałtyckiej będziemy - jak nieraz w przeszłości - nie podmiotem, ale przedmiotem przetargów. Historia jest dobrą nauczycielką, lecz nad Wisłą nigdy nie miała zbyt pojętych uczniów.

Nasze jednostronne, a więc i krótkowzroczne myślenie demonstrowane na forum międzynarodowym, kojarzące się wyłącznie z niecierpliwością osiągnięcia jednego celu - partnerstwa w Unii - jest stanowiskiem uproszczonym i schematycznym; może być działaniem, które przyniesie rozczarowanie. Brak w obliczeniach aspektu regionalnego czyni uboższym nasz bilans po stronie dochodów. Jako liczący się członek subintegracji bałtyckiej mielibyśmy łatwiejszą i mniej stresującą drogę do Brukseli. Iluzje polskiego MSZ co do szybszego zjednoczenia z Zachodem poprzez gambit naddunajsko-adriatycki (Inicjatywa Środkowoeuropejska), przy

temperaturze nieustannie bliskiej wrzenia w kotle bałkańskim, budzą uzasadnione obiekcje. Dodajmy, że do tego samego stowarzyszenia, z orędownictwem jego włoskiego lidera, chcą dołączyć takie państwa jak Albania, San Marino i Malta. Czy nasi delegaci mogą się znaleźć w bardziej oryginalnym towarzystwie?

Ignorowanie przez Polskę opcji bałtyckiej nie da się usprawiedliwić. Stanowi poważny błąd zarówno z punktu widzenia właściwie rozumianej gry interesów, jak i polskiej racji stanu. Aktywność naszego kraju w regionie bałtyckim byłaby na pewno wzmocnieniem jego pozycji, byłaby wyrazem zdrowego instynktu, niezależnej i logicznie przejrzystej myśli politycznej. Potwierdzałyby świadomość naszego miejsca na mapie Europy, a tym samym uwiarygodniłyby nas w oczach innych. Granica morska naszego kraju nie może być z uporem traktowana mniej serio niż granica wschodnia, zachodnia czy południowa, a sąsiedzi z północy tak, jakby byli nie za jednym - na odległość rzutu kamieniem - lecz za siedmioma morzami. Tej prawdy nie można nie dostrzegać.

Okazywana przez naszych nadmorskich sąsiadów, tak w kontaktach osobistych, jak i nierzadko podczas oficjalnych spotkań VIP-ów, gotowość do pogłębiania więzi między wszystkimi państwami bałtyckimi bez intencji nadrzędności któregośkolwiek z nich, winna stać się zachęcającą motywacją do wystąpienia z propozycją dalej idącej formuły zbliżenia. Budowa takich nowych modelowo stosunków na tym obszarze, niemających korzeni w tradycji historycznej z udziałem Polski, wydaje się niełatwa do urzeczywistnienia. Tak, ale nie jest utopią. Wiele objawów wskazuje na to, że do przygotowywania rusztowań można już przystąpić; sprzyja temu tworzący się samorzutnie wokół tej idei klimat zrozumienia i poparcia. Byłby to krok ku wspólnocie regionalnej, mogącej stanowić istotny czynnik w układzie sił jednoczących Europę XXI wieku.

Polska może i powinna być jej architektem.